

„Semiramida” rozpoczęła III Festiwal Gioacchina Rossiniego

Mistrz w ćwiartkach

To miało być prawdziwe wydarzenie – pierwsza po prawie 140 latach pełna sceniczna realizacja „Semiramidy” w Warszawie, trzecią zaś w dziejach polskiego teatru. Na dodatek przygotowana w wersji oryginalnej, jeżynie ze skrótami poczynionymi po prapremierze przez samego kompozytora, a nie pocięta jak zazwyczaj przez dyrygentów lub kapryśnych śpiewaków. Ale Rossini, który za życia niejednym żartem wykpił się przyjaciółom i publiczności, nie dał się ujarzmić. I sam ucierpiał na tym najbardziej.

Nie udało się przekonać widzów, że nie jest on tylko mistrzem oper komicznych, a taki pogląd u nas wciąż dominuje. Potrafił tworzyć wielkie dzieła dramatyczne o skomplikowanej fakturze, pełne namietności i emocji. Taka właśnie jest „Semiramida”, choć po tym przedstawieniu trudno w to uwierzyć.

Kto uważnie wczyta się w partyturę, ten uchwyci muzyczną poezję, a nie tylko proste melodyjki i banalne „umpa, umpa”, które dyrygent dostrzegł nawet w najbardziej znanych fragmentach „Semiramidy”. Tadeusz Karolak raz przy tym zwalniał, raz pędził na oślep, aż chór nie był w stanie wyśpiewać swych kwestii, a co najgorsze – poćwiartował mistrza Rossiniego na cząstki nieskładające się w spójną całość. „Semiramida” należy, co prawda, do oper z tzw. numerami, w każdej z jej scen mamy popisowe partie dla solistów czy chóru. W żadnym razie nie wolno ich jednak traktować oddzielnie, trzeba dostrzec między nimi dramaturgiczną więź muzyczną. Bo inaczej „Se-



ANDRZEJ WIKTOR

Jedną z nielicznych atrakcji spektaklu są bajkowo kolorowe kostiumy

miramida” staje się zestawem pustych popisów wokalnych.

Gdyby słuchanie śpiewaków dawało przyjemność, brak interpretacyjnej koncepcji u dyrygenta nie byłby tak dostrzegalny. Co z tego jednak, że Józef Frakstein (Oroe) czy Krzysztof Machowski (Idreno) śpiewają ładnie, skoro nie rozumieją, że muzyka Rossiniego to nie tylko nuty, lecz kryjąca się w nich treść – nie zawsze ujęta w słowa, emocjonalnie czasami trudno uchwytana, ale niezbędna do przekazania. Sztuki interpretacji mogłoby się choćby nauczyć od Agnieszki Kurowskiej (Semiramida), która wie, że ciągle repetycje melodii Rossini stosował po to, by solista poprzez wokalne wa-

riacje różnicował napięcie emocjonalne. Ona ponadto rozumie, o czym śpiewa, a banalne nawet czasem słowa pomagają jej budować postać. Niestety, „Semiramida” to arcydzieło belcanta, a Agnieszka Kurowska ma wyraźne kłopoty z oddechem, z prowadzeniem i wykończeniem frazy, a przede wszystkim z ładną barwą swego głosu.

Reżyserię spektaklu, składającego się z ciągu statycznych, niekiedy wręcz humorystycznych obrazków, lepiej pominąć milczeniem. Tak naprawdę z grona scenicznych realizatorów honorarium należy się wyłącznie scenografowi za bajkowo kolorowe kostiumy.

Premierowa „Semiramida” niesie więc tylko jeden jasny promyk. To An-

na Radziejewska o ładnym głosie, dobrej technice wokalne, która wie, jak tchnąć życie w postać dzielnego Arsace, a przede wszystkim wierzy w siłę i piękno muzyki Rossiniego. I na dodatek potrafi tak sprawić, że jej wiara udziela się widzom. Takich sprzymierzeńców kompozytor potrzebuje. Inni mogą mu jedynie wyrządzić niedźwiedzią przysługę.

Jacek Marczyński

Gioacchino Rossini „Semiramida”. Inscenizacja i reżyseria Giovanni Pampiglione, scenografia Santi Migneco, kierownictwo muzyczne Tadeusz Karolak, Warszawska Opera Kameralna, premiera 28 listopada.